



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie \$1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą \$1.00, bez Gazety \$1.50. Wszelkie listy i korespondencje adresować należy: W. Smulski, 606 Noble Street, Chicago. Ill.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją piśmu "Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:

Czwartek, 24 Stycznia.
Piątek, 25 Stycznia.
Sobota, 26 Stycznia.
Niedziela, 27 Stycznia.
Poniedziałek, 28 Stycznia.
Wtorek, 29 Stycznia.
Środa, 30 Stycznia.

KATOLICKI:

Tymoteusza b. Felicjana.
Nawr. Pawła apost.
Polikarpa i Matyldy.
3 po 3 Kr. Jana Złotoustego b.
Karola W. i Walerego.
Franciszka Sal.
Hiacynty i Martyny p. i m.

SŁOWIAŃSKI:

Chwalibóg.
Miłosz.
Skarbimir.
Przybysław.
Radomir.
Zdzisław.
Dobrogniew.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus !

NA NIEDZIELĘ TRZECIĄ PO TRZECH KRÓLACH.

Evangelia św. Mateusza w rozdziale VIII.

Onego czasu, gdy zstąpił Jezus z góry, szły za Nim wielkie rzesze. A oto trędowaty przyszedłszy, pokłonił się Mu, mówiąc: Panie, jeśli chcesz, możesz mię oczyścić. I ściągnąwszy Jezus rękę, dotknął się go, mówiąc: Chcę bądź oczyszczon. I był od razu oczyszczon z trędą. A rzekł mu Jezus: patrz, abyś to nikomu nie powiadał; ale idź, ukaż się kapłanowi i ofiaruj dar, który przykazał Mojżesz na świadectwo im. A gdy wszedł do Kafarnaum, przystąpił do Niego setnik, prosząc Go i mówiąc: Panie! sługa mój leży w domu powietrzem ruszony, i ciężko trapiiony jest. I rzekł mu Jezus: Ja przyjdę i uzdrowię go. A odpowiadając setnik rzekł: Panie nie jestem godzien, abyś wszedł pod dach mój: ale tylko rzecz słowem, a będzie uzdrowion sługa mój. Bo i ja jestem człowiek pod władzą postawiony, mający pod sobą żołnierze, i mówię temu: idź, a idzie; a drugiemu: chodź, a przychodzi; a słudze mojemu: czyn to, a czyni. A usłyszawszy Jezus, dziwował się, i rzekł tym, którzy szli za Nim: Zaprawdę powiadam wam, nie znalazłem tak wielkiej wiary w Izraelu. A powiadam wam: iż wielu ich ze wschodu słońca i z zachodu przyjdzie, i usiądą z Abrahamem, i Izaakiem, i Jakóbem w królestwie niebieskiem; a synowie królestwa będą wyrzuceni w ciemności zewnętrzne; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. I rzekł Jezus setnikowi: Idź, a jakoś uwierzył, niech ci się stanie. I uzdrowiony jest sługa onej godziny.

Kościół walczy — Kościół zwycięża.

IV.

Ci, co tryumfują i bliski upadek przepowiadają Kościo-
wi, kiedy musi walczyć i z światem się ucierać, niech pomną,
że trzydziestu pierwszych papieży zamęczono; — że papieża
Marcina I wywlekli żołnierze cesarscy z bazyliki lateraneń-
skiej w Rzymie i powlekli na wygnanie do Chersonesu, do-
kład największych zbrodniarzy wyselano; — że papieża Grze-
gorza VII, obrońcę wielkiego praw i sumienia katolickiego,
dwa razy wypędzano z Rzymu i że na wygnaniu umarł; —
że Bonifacego VIII żołnierze rozbestwieni w Rzymie okryli
szyderstwem i pogardą. — a to wszystko papieżu chwały
tylko przysporzyło! Powiedział protestancki historyk Ma-
kalej (Macaulay): "papiestwo i wtedy jeszcze stać będzie,
kiedy wędrowiec z Nowej Zelandyi, oparty na złamanym
słupie mostu w Londynie, ruiny kościoła Pawłowego ryso-
wać będzie — wśród odludnej pustyni!" To znaczy: podzi-
wem świata i jego cudem jest Londyn i kościół, ale kiedy
on tak upadnie, że ruiny tylko i gruzy jego wielkiego kościo-
ła przychodzić jakiś ze stron najdalszych rysować będzie,
aby pamiątkę tej wielkości przechować, a cały Londyn w
pustynię się zamieni, wtenczas jeszcze papiestwo istnieć bę-
dzie. Patrz, tak powiedział nie katolik, ale protestant!

Historya papiestwa jeszcze wyraźniej wskazuje, jaki to
mocny jest nasz Kościół i dowodzi prawdy słowa Jezusowe-
go: i "bramy piekielne go nie przemogą." Ileż to razy wypę-
dzano papieży z Rzymu i Rzym im odbierano, a papież
przecież każdą razą wracali z tryumfem do Rzymu! Tak
wypędził cesarz Otton papieży Jana XII i Benedykta V; —
Benedykt VIII sam przed Normanami schronić się musiał
do Niemiec, — papieży Jana XIII, Jana XV i Grzegorza V
wypędziła rewolucya z Rzymu, — a papież jednak do Rzymu
powrócił.

Grzegorz VIII, wielki papież, chwała i chluba Kościoła,
mocny i nieugięty duchem jak stal, o którym Napoleon I
powiedział: "gdybym nie był Napoleonem, chciałbym być

Grzegorzem VIII" papież, który wiele wycierpiał w obronie Kościoła, a Kościół od shańbienia obronił, — na wygnaniu umarł i umierając zawołał: pokochałem sprawiedliwość, a znienawidziłem nieprawość, dla tego umieram na wygnaniu." Paskala II, papieża, zamknięto w fortecy Trybuko (Tribucco), — Gelazeusz II musiał się schronić do Gaety, Eugeniusz III musiał uciekać z Rzymu przed Arnoldem z Brescyi i rozpasanymi jego sprzymierzeńcami, Innocenty II i Adryan IV musieli Rzym oddać powstańcom, — a przecież Ten, co wałom i burzom rozkazywał, i bezbożnym rozkazał, a papież wiekiem pochylony znów do Rzymu powrócił,

Ile to razy nie wypędzano z Rzymu Aleksandra IIIgo? Cesarz Barbarosa strasznie mu dokuczał, przygniótł go całym ciężarem tyranii, chciał go ujarzmić, — umarł przecież cesarz, a papież spokojnie zasiadł na starej Piotrowej stolicy!

Grzegorza IX, prawie już stuletniego starca, — Lucyana III, Innocentego IV, Urbana IV, Bonifacego IX, Innocentego VII, Jana XXII, Eugeniusza IV, — papieży — wypędziły ze Rzymu częścią wojska potężne, częścią powstańcze tłumy i na wygnanie wskazały, — ale powstał w końcu wódz wojsk wszystkich, uśmierzyciel ludzkich namiętności, Pan Jezus, kazał uciszyć się burzom, a papież znów wrócił do Rzymu!

Piusa VI wywleczono z Rzymu i pognano do Walencyi. Przed jego nieprzyjacielem, cesarzem Napoleonem I, drżał świat cały i zginał się przed jego potęgą; — jeden tylko papież nie dał mu się złamać i nie chciał służyć za narzędzie jego samowoli i dumi. Zgrzytał zębami Napoleon na wspomnienie papieża, a dowiedziawszy się o jego śmierci, zawołał z radością: "Już nie ma i nie będzie odtąd potrójnej korony" (tj. papieża, bo papież potrójną nosi koronę). Ale Bóg potężniejszy od Napoleona, dał znów Kościołowi papieża Piusa VII. I tego z Rzymu wypędzić kazał Napoleon i uprowadzić przez żołnierzy do Fonteneblo (Fontaineblau). Jeden z żołnierzy, co go na wygnanie przyprowadzili, zawołał z dumą i pogardą: "ostatniego papieża uprowadziliśmy. Odtąd nie będzie więcej papieża." Tymczasem zmalął strasznie Na-

po Leonie i zmarniał, i kiedy szedł na wygnanie na wyspę św. Heleny, papież w tryumfie wracał do Rzymu!

Jednem słowem: trzydziestu papieży umarło śmiercią męczeńską, więcej jak czterdziestu wygnano z Rzymu; — długim a strasznym łańcuchem rozlicznych prześladowań przepasywał świat papieży: — często ręce tylko próżne zostawały papieżowi, aby je wyciągał ku niebu i zebrał niemi pomocy Bożej; — człowiek w dumie swojej bardzo często chciał podważyć opokę św. Piotra, aby ją obalić, zgruchotać, — i obaliły się trony i najpotężniejsze, mieszały się rachunki i najbardziej wygórowane, a tę skałę roztrzaskiwały się głowy i najtrwalsze, — a papież, chociaż często przez wszystkich opuszczony, z tryumfem do Watykanu wracał. "I bramy piekła go nie przemogą" śpiewali sami tyrani i nieprzyjaciele papieża, idąc za wozem jego tryumfalnym!

Cóż podobnego w historii? — Gdzie królestwo tak potężne, gdzie korona tak mocno, silnie przykuta, jak tron papieski i papieska korona? Któreż mocarstwo i najpotężniejsze nie byłoby uległo w końcu tylu uciskom i prześladowaniom? Któryż monarcha tyle razy wypędzany, odważyłby się być wracać znów na tron swój? Ale tron papieży, przez samego Boga ustanowiony, berło w ich rękę przez Boga im dane, pod Bożą zostające opieką, ich korony sam Bóg strzeże! "Nie umrze, nie zginie," woła ponad papieżem niebo całe!

Ks. Lic. J.

DZIEJE POLSKI

ZA PANOWANIA

KRÓLA JANA II KAZIMIERZA.

I.

W trudnym czasie umarł król Władysław; zbuntowani Kozacy porośli w pierze, pobili wojska polskie, a na tem się nie skończyło, bo jedno złe rodzi drugie. Gdyby to jeszcze w Polsce dobre były czasy, gdyby panowie byli zgodni, a

lud szczęśliwy, no — toby nie długo trwało, a bunt Kozactwa byłby od razu poskromniony, ale niestety źle się w Polsce działo. Widzieliśmy już, jaki to duch panował pomiędzy szlachtą; króla miano za nic, jedni drugim zazdrościli, każdy tylko myślał o sobie, a nikt o tem, jakby własnem drobnem poświęceniem zbudować ojczyznę silną i nie wydawać jej na pastwę nieprzyjaciół. To też na sejmach nie myślano o potrzebach kraju, nie umiano się zgadzać, nie umiano uszanować godności królewskiej; sejmy były kłótniwe i burzliwe, i zwykle kończyły się na niczem. Drugiem złem była krzywda, jaką szlachta wyrządzała biednemu ludowi. Miało to być poddaństwo, ale było podobniejszem do niewoli. Panowie dowoli lud uciskali, pomnażali według upodobania daniny, tak że od wszystkiego co posiadał, czem się żywił, musiał płacić daniny, a nawet od żołądźi, które zbierał, gdy czem innem nie miał się pożywić. Straszna była bieda i nędza pomiędzy ludem, a król nie mógł jej zapobiedz, bo nie miał władzy, tylko niektórzy zacni mężowie, kaznodzieje i pisarze brali lud w obronę i występowali przeciwko temu uciskowi, ale wszystkie ich zabiegi były jak groch rzucony o ścianę. To też nie dziw, że lud przywiedziony do rozpaczyny nauczył się od zbuntowanych Kozaków, jak ma sobie postąpić.

Chmielnicki, herszt zbuntowanych Kozaków, umiał sobie też poradzić, aby lud pozyskać dla swojej sprawy i coraz większe siły na około siebie zgromadzić. Osobnemi pismami ogłaszał on po kraju zwycięstwa swoje, a przytem taki był przebiegły, że się nie wynosił jako przywódzca, ale tylko mianował się starszym bratem Kozaków i uciśnionego ludu, udawał, że król Władysław wie i zezwala na jego kroki, że nie walczy przeciwko ukochanemu królowi, ale tylko przeciwko tyrańskim panom. To też chłopci garnęli się do niego, służyli mu za szpiegów; a ponieważ występował jako obrońca wyznania greckiego, więc miał i popów schizmatycznych po swojej stronie, a nawet szlachta aryańska popierała go, aby tem dla swej sekty większe wymódl korzyści na upokorzonyj Polsce. W ten sposób niesłychane zebrał Chmielni-

ki siły. Samego Kozactwa było około 200 tysięcy, a cóż dopiero chłopów! Buntownicy zajęli już za wielkie obszary kraju: Podole, Wołyń i wszystką ziemię aż do Litwy.

Zażartość buntowników była tak wielka, że nie zadowolono się regularną wojną, ale najokropniejsze popełniano okrucieństwa. Znakomity historyk w tych krótkich słowach dosadnie je określa: "Biada szlachcicowi, księdzu lub żydowi, który nie zdążył uciec! Nie było litości, ani dla wieku, ani dla stanu, ani dla płci. Rozjuszona zgraja zarzynająca, dławiała, topiła, odzierała ze skóry, zakopywała żywych, obcinała członki, piekła przy wolnym ogniu, dzieci z wnętrzości matek dobywała, trupy z grobów na pastwę psom wyrzucała. Niewiasty gnane do jassyru (niewoli) upadały pod biczem i hańbą. Dla uratowania życia, na pośmiewisko, ksiądz żenił się zaraz musiał ze zakonnicą, żyd poddać się chrztowi. Cała przestrzeń, od progów Dniepru nieledwie do źródeł Dniestru, stała się potem jednym cmentarzem. Jak panowie krew wyciskali z chłopków, tak działo się im nawzajem. Straszna trwoga opanowała kraj cały. Roznieśli ją rychło, którzy ucieczką ratować się potrafili, a którzy nie odetchnęli aż za murami Lwowa i Zamościa. Dowiedziano się od hospodara mołdawskiego, że samym Tatarom 50 tysięcy jeńców dostało się w podziale; że sprzedawali im Kozacy po szlachcicu, po kilku chłopów, za konia, że majątniejsi szacować się musieli sami do wykupna, a szacować drogo, bo pod kijami w podeszwy."

Popłoch i smutek w kraju był wielki, ustały publiczne zabawy, a panowie sami teraz ofiarowali się z gotowością wystawienia wojska i poczęli myśleć o sejmie elekcyjnym. Mimo to Bóg wie, jakby się była sprawa skończyła, gdyby Turek nie był tymczasowo burzy zażegnał. Powstał on surowo na chana tatarskiego, tak że ten skruszony odstąpił od współzawodnictwa z Kozakami i przysłał posłów do Polski z oświadczeniem, że dla tego tylko najechał na Polskę porówno z Kozakami, że mu od czterech lat nie płacono haraczu, ale skoro tylko zaległość odbierze, nietylko on ustąpi, ale i Kozacy się uspokoją. Chmielnicki był niesłychanie

przebiegły; chciał on koniecznie zachować pozór, jakoby naj-sprawiedliwszej bronił sprawy, dla tego też zaprzestał teraz na chwilę gwałtów i nadesłał także posłów z bardzo pokornym listem, w którym się tłumaczy, że nie wiedział o śmierci króla Władysława, że tylko odpierał gwałty, jakich Kozacy doznawali od panów, że chętnie wrócą do posłuszeństwa, byleby tylko dawniejsze przywrócone im były przywileje itd. Odpowiedziano mu, że skoro Kozacy sami winę swą uznają, przeto sejm zaradzi złemu i da im sposobność naprawienia tych krzywd, jakie wyrządzili.

W lipcu zebrał się w Krakowie sejm konwokacyjny i postanowiono w najkrótszym czasie zwołać sejm elekcyjny. Co zaś zrobić z Kozakami, na to nie było zgody; jedni radzili surowo ich skarcić, bo w obec potulnego listu Chmielnickiego nabrali odwagi, drudzy znowu chcieli obejść się z nimi jak najłagodniej. Głównie zaś zajmowano się śledzeniem postępowania nieboszczyka króla Władysława, czy i o ile miał on udziału w tym buncie Kozaków. Stało ostatecznie na tem, że postanowiono wybrać komisją, któraby zażądała od Kozaków wydania jeńców i hersztów, jako też wszystkiego, co byli zabrali, nadto mieli zerwać z Tatarami, stracić za karę zaległy żołd, poprzestać na dotychczasowych swobodach i ostatecznie wydać wszystkie listy zmarłego króla.

Naturalnie, że te warunki nie mogły się Kozakom podobać, ale nie przyszło nawet do tego, aby im takowe przedłożono, bo znudzeni długim czekaniem, ośmieleni bez królewem i rozjątrzeni rozsiewaną pogłoską, iż Polacy ich posłów wymordowali, wybuchnęli na nowo. Chmielnicki wprawdzie sam nie wyruszył, ale wysłał z wojskiem namiestnika swego, Krzywonosą, zabierał on i niszczył wsie i miasta, rabował mordował i najokropniejszych dopuszczał się gwałtów. Dreszcz człowieka przejmując, gdy czyta straszne te dzieje, które wymownie stwierdzają starą tę prawdę, że człowiek roznamiętniony gorszym jest od zwierza drapieżnego.

Panowie przekonali się teraz, że to nie przelewki, więc na gwałt poczęli wystawiać wojsko, które pod przewódz-

twem nie hetmanów, bo tych Kozacy trzymali w niewoli, ale tak zwanych rejmentarzy, zastępców hetmanów, ostatecznie pobiło Kozaków, i tem sprawili, że Chmielnicki udawając, iż on temu nowemu buntowi nie winien, odwołał Krzywonosą i ukarał. Zrobił to tylko dla oka, aby zyskać na czasie, bo w gruncie rzeczy nie śniło mu się wcale, siedzieć spokojnie. Tymczasem z największym pospiechem wzmacniał swe siły: połączył się znowu z Tatarami, którzy od Polski nie odebrali haraczu, zbierał garnących się do niego ze wszystkich stron świata zbiegów i łotrów, a nawet do nowego sultana wyprawił poselstwo, ofiarując mu poddać się, płacić haracz i wydać mu twierdzę Kamieniec, na którą dawno już Turek ostrzył zęby. Wzmocniwszy się w ten sposób wyruszył naprzód na pogranicze Wołynia; samego Kozactwa było 120 tysięcy, a chłopów 80 tysięcy. W obec takiej ogromnej siły nieprzyjaciela mieli Polacy 36 tysięcy rycerza. Ale nie ta mała garstka stanowiła słabość Polaków: wybrali się oni nie jak na wojnę, ale jakoby na jaką uroczystą zabawę. Przepychem w strojach, bogactwem w zapasach, chcieli zaimponować chłopom, więc zrobili największe głupstwo w świecie i zabrali ze sobą wszystkie swe kosztowności. Rycerzy było tylko 36.000, a służby 200.000, wozów do 100 tysięcy! Drugie złe polegało na tem, że zanadto było wodzów. Pierwszy wódz był stary, drugi młodzik, a trzeci uczony, wszyscy więc na wszystko inne, tylko nie na wodzów zdadni, a jak ktoś zauważył, przewodziła w tej wojnie pierzyna, dziecina i łacina. Czwarty wódz gniewał się na pierwszych o to, że był na równi z nimi postawiony, i nie łączył się z nimi wcale. Gdy się rozłożyli obozem naprzeciwko Kozakom, poczęli nasamprzód radzić, czy w ogóle bić się lub też z nieprzyjacielem się ułożyć. Długo się naradzano i targowano się z nieprzyjacielem, aż wreszcie postanowiono uderzyć wstępnym bojem, a nawet zgoda nastąpiła pomiędzy pojedynczymi wodzami. Nieprzyszło jednakże do otwartej bitwy, bo Chmielnicki przebiegły chciał sprawę przedłużyć, aby дочекаć się pomocy Tatarów, więc tedy cała operacya wojenna polegała na samych harcach i uganianiu się; Kozacy u-

mieli Polaków zręcznie drażnić i zatrudniać, ale potem chowali się do jam i lochów. Tak bawiono się przez kilka tygodni, aż nadeszli Tatarzy. Na tę wiadomość, jako też gdy się dowiedziano, że i Turcy trzyma z Kozakami, struchleli nasi. Męstwa wielkiego na ten raz w nich nie było, bo wskutek długiego pokoju zniewieścili i zgnuśnili, więc tedy poczęli się naradzać, czy podobną jest rzeczą, aby się bić z tak ogromnie silnym nieprzyjacielem i kwiat młodzieży polskiej na niechybną wystawić zgubę? Skończyło się na tem, że moi rycerze poczęli nocą wyrywać z obozu i uciekali jak oparzeni. Było to pod Piławcami. Kozacy i Tatarzy nie gonili ich z początku, bo myśleli że to podstęp, wreszcie przekonali się, że istotnie Polacy poumykali i zostawili im bogaty swój obóz na pastwę. Bez trudu więc wyrznęli kilkuset ludzi piechoty Osińskiego, która nie stchórzyła, ale broniła się do upadłego, a potem zabrali się do zabierania łupów. Ośmdziesiąt dział śpiżowych dostało się w ich ręce, prócz tego ogromne skarby. Sam Chmielnicki dostał w podziale dwadzieścia skrzyń cennych szat i kilkanaście beczek srebra, które później zakopał, gdy był w niebezpieczeństwie. O ściganiu uciekających mowy nie było, bo Kozacy i Tatarzy cztery dni potrzebowali czasu, aby te łupy między siebie podzielić. Obdzielwszy się i odniosłszy tak korzystne zwycięstwo, a tak tanim kosztem, posunęli się Kozacy i Tatarzy naprzód, a Chmielnicki nawet stanął pod Lwowem.

Można sobie wyobrazić, jaki się teraz zrobił popłoch w kraju. Czempredziej zebrano się pod Warszawą na sejm elekcyjny, aby natychmiast wybrać i obmyślić środki obrony, bo co noc widywano na niebie krwawe łuny od palonych od nieprzyjaciół miast i wsi. W obec tak bliskiego nieprzyjaciela groziło niebezpieczeństwo wielkie, mimo to panowie zamiast radzić stanowczo, poczęli się kłócić o sposoby obrony kraju, aż wreszcie kłócono się o rzeczy wcale niepotrzebne, o sprawy osobiste i marnowano czas drogi. Nadaremnie powstawali na to rozsądniejsi panowie, dopiero gdy nadeszła wiadomość, że nieprzyjaciół wyciął Kobrzyń, a Brześć litewski zrabował do szczętu, mordował bez litości

wszystko, co mu się nawinęło, i że tylko jeszcze kilka-
naście mil ma do Warszawy, padł strach na chrześciany,
jedni posłowie zaczęli zabierać manatki i uciekać, drudzy w
większej liczbie zgodzili się na środki obrony i wybrali osta-
tecznie królem Jana Kaźmierza, brata nieboszczyka
króla Władysława. Jan Kaźmierz znudzony rozmaitemi
przeciwnościami i przykrościami, jakich doznawał, wstąpił
był do zakonu Jezuitów już w roku 1643, a Papież później o-
fiarował mu kapelusz kardynalski, ale go potem zwolnił od
ślubów zakonnych, tak też mógł przyjąć koronę, którą mu
Polacy ofiarowali, chociaż ta korona stać się miała dla niego
koroną cierniową. (C. d. n.)

ZAMASKOWANI RABUSIE.

(Z notatek Nowojorskiego tajnego policyanta.)

(Dokończenie.)

Światła z domów miasta dawno już znikły z oczu, a po-
nieważ już całą godzinę byłem w drodze, zacząłem się oba-
wiać, że podróż moja będzie daremna, gdy naraz ktoś konia
mego przytrzymał za cugle, a przedemną zabłysła lufa pi-
stoletu.

— Oddaj pan pieniądze, panie Clark! — odezwał się
głos ochrypły.

— Więc mię pan znasz? — zapytałem.

— Tak jest. Pan wczoraj do Ellicotsville przybyłeś.

— Nie rób pan korowodów i oddaj, co masz! — zawo-
łał jeden z rabusiów zniecierpliwiony, chwytając mię za
ramię. —

— Owszem. Nie mam wprawdzie wiele przy sobie, ale
to co mam oddam.

To mówiąc oddałem sakiewkę. Otworzył ją i odezwał
się po chwili.

— Pan masz więcej pieniędzy przy sobie.

— Nie.

— Widziano pana, jak wchodziłeś do banku.

— Tak jest, ale na to, aby pieniądze odesłać, a nie odebrać.

— Zrewidujemy pana.

— Owszem. Nie mam broni i opierać się nie mogę.

Rabusie wszystkie moje przeszukali kieszenie, a że nic nie znaleźli, musieli się zadowolnić naznaczonemi banknotami.

— Pan niezawodnie z rozmysłem nie zabrałeś więcej pieniędzy?

— Naturalnie. Powiedziano, że z pewnością zostanę obrabowany, więc zastósowałem się do tego. Teraz podróż moja nie ma celu, bo bez grosza do Albany jechać nie mogę.

— Przepraszamy bardzo! — odrzekli hultaje szydyczko.

Zwróciłem konia i znowu popędziłem ku miastu. Podczas rozmowy z rabusiami chciałem koniecznie widzieć ich twarze, ale daremnie, bo mieli gęste krepowe maski, których zedrzeć nie mogłem, nie chcąc, aby mnie nie zagałuszyli. I głos jednego był mi nie znany, drugi nie odzywał się wcale. Było też tak ciemno, że i postaci obydwóch rozpoznać nie mogłem. Plan mój więc wcale się nie udał, tymczasem nie traciłem nadziei.

Utwierdziłem się teraz jeszcze bardziej w tem, że rabusie byli z Ellicotsville; postanowiłem za tem ukryć się w pobliżu miasta, odczekać ich powrotu, a potem śledzić ich z daleka.

Gdy się do miasta zbliżyłem, ukryłem konia w zagajeniu, i zbliżyłem się do opuszczonego, na pół zawalonego domostwa. Pierwsza izba, do której wszedłem, była dość obszerna i cała pusta, tylko obszerna framuga w ścianie z drzwiami tworzyła szafę.

Zbliżyłem się natychmiast do okna, i ku wielkiej mej radości przekonałem się, że ztąd wszystko mogłem ujrzeć, co się działo na ulicy. Położenie moje nie było jednakże bardzo rozkoszne, bo wiatr dął przez otwarte okno i na wskroś mię przejmował; nadto byłem znużony i śpiący, i niejednokrotnie przychodziła mi myśl porzucić całą sprawę i wrócić do hotelu do wygodnego łóżka. Przekonanie jednakże mocne, że rabusie pochodzą z miasta, i że

nie było podobieństwem, aby inną drogą do miasta wniść mogli, utwierdziło mię to w raz powziętym zamiarze. Tak upłynęła może godzina, gdy usłyszałem zbliżające się kroki. Odgłos kroków stawał się coraz wyraźniejszy, aż wreszcie pokazały się na ulicy dwie ciemne postacie. Ale któż opisze moje zadziwienie, gdy spostrzegłem, że obaj schodzą z ulicy i ścieżką idą wprost ku pustemu domostwu! W okamgnieniu odskoczyłem od okna i schowałem się do szafy, o której wspomniałem. W kilka chwil potem otworzyły się drzwi i rabusie weszli do izby.

— Mało szczęścia dzisiaj, — odezwał się jeden.

— Codziennie złoto kapać nie może, — była odpowiedź drugiego. — Ja myślę, że możemy być zadowoleni ze zbioru ostatniego tygodnia.

— Tak, przyznać trzeba, że znasz swoje rzemiosło. Ludzie ani nie przypuszczają, że to my im zbyteczne odbieramy złoto.

— Ale tu okropnie zimno. Gdzie zapalki?

— U góry w szafie.

Rabus zbliżył się do szafy. Zimny pot wystąpił mi na czoło i słyszałem, jak mi serce biło. Drzwi się otworzyły, a szczęście, które tylekroć mi pomagało, i teraz mię nie opuściło. Rabus sięgnął w ciemności na półkę nad moją głową i od razu znalazł pudełko z zapalkami.

— Jakże też mogłeś okno zostawić otwarte? — rozpoczął jeden z rabusiów, gdy zapalono świecę.

— Ja go nie otwierałem.

— Naturalnie, któż je miał otworzyć?

— Może ty sam zapomniałeś je wczoraj zamknąć. Ale na cóż się umawiać — otwarte jest i basta! — To mówiąc zamknął opryszek okno, a ja byłem niezmiernie rad, że się niedomyślali nieproszonego gościa.

Przez dziurkę od klucza miałem sposobność dobrze się rabusiom przypatrzeć. Jeden z nich był wysoki i silny mężczyzna, drugi daleko niższy; ponieważ jednakże mieli jeszcze maski, nie mogłem ich tak samo poznać jak na ulicy.

— A więc do interesu! — rozpoczął jeden. — Cośmy dziś zabrali?

— Nic, tylko dwadzieścia dolarów od kupca z Nowego Jorku, złoty zegarek dzierżawcy Johnsona i dwa pierścionki jego żony.

— Dobrze pieniędzmi się podzielimy; a resztę schowamy.

Rabuś oddał towarzyszowi banknot, i widziałem, jak go schował w lewą kieszeń kamizelki, potem unieśli deskę w posadzce i schowali w utworzonej tam skrytce zegarek i pierścionki.

— Mamy wcale okazały zbiór, — zaśmiał się wyższy, ułożywszy starannie deskę na miejscu. — Kiedy się będziemy dzielić?

— Myślę, że poprowadzimy jeszcze przez kilka tygodni nasz interes, a potem znikniemy bez śladu.

— Dobrze, ale zanim to nastąpi, powinniśmy jeszcze w kilku domach miasta oddać wizytę. Stary Dobell np. leży na pieniądzech; trzeba się mu przysłużyć, aby tak twardo nie leżał.

— Naturalnie, tylko że on będzie ostatnim z kolei.

— Racya. Gdzie wódka?

— W szafie u góry. Możemy się napić, bo zimno?

Teraz było po mnie; wyższy rabuś zbliżył się ze świecą do szafy. Nagle przyszła mi myśl — był to jedyny środek ratunku. Skoro tylko ze świecą zbliżył się do uchylonych drzwi, zanim je otworzył, zagasiłem ją przez szparę.

— Przekłęty przewiew! — zawołał rabuś, tupając gniewnie nogą. Nie zadał sobie jednak tyle czasu, aby ponownie świecę zapalić, tylko pociemku namacał butelkę i zamknął drzwi szafy ku wielkiej mojej radości. Niebezpieczeństwo chwilowo minęło. Rabusie znowu zapalili świecę; spodziewałem się więc, że zdejmą maski, aby wygodnie móc pić, ale się omyliłem, unieśli bowiem cokolwiek maski, tak że rysów ich twarzy ujrzeć nie mogłem. Gdy jednakże mniejszy z nich butelkę przyłożył do ust, zrobiłem niespodziane spostrzeżenie.

— Weźm butelkę, a ja świecę i zapalki zabiorę ze sobą;
— rzekł młodszy, poczem zagasili świecę i oddalili się.

W kwadrans potem i ja wjechałem do miasta, jak gdyby nic nie było zaszło. Na zapytanie gospodarza odpowiedziałem, że w drodze przypomniałem sobie coś, dla czego podróż moją do Albany tymczasowo musiałem odłożyć.

Nazajutrz z rana udałem się do burmistrza, którego wraz z sekretarzem i woźnym zastałem w kancelaryi. Obaj zdawali się być mocno zdziwieni, widząc mnie znowu w mieście.

— Więc pan jeszcze pomiędzy nami, panie Clark? — zawołał burmistrz. — Sądziłem, że pan już dawno w Albany.

— Miałem nieszczęście: napadnięto mię, odebrano pieniądze, i dla tego podróży mojej kończyć nie mogłem.

— A to hańba! — oburzył się Barton. — Czasby był doprawdy, aby władze z całą surowością w to wkroczyły.

— Jestem tego samego zdania i w tym celu też tu przyszedłem, — odpowiedziałem, kładąc rękę na ramieniu Bartona. — Aresztuję pana, panie Barton, jako rabusia, który dziś w nocy mię napadł i zrabował.

— Czyś pan oszalał? — krzyknął Barton, prawie nieprzytomny.

— Bynajmniej.

I zanim się domyślił, co zamierzam, wyciągnąłem mu z kieszeni kamizelki banknot czerwonym oznaczony atramentem. Zdradził się był łotr, gdy butelkę do ust przyłożył; przy tej bowiem sposobności spostrzegłem, że mu brakło środkowego palca u ręki i byłem pewien swego. Barton wypierał się, aż mu powiedziałem, że byłem ukryty w szafie, w izbie tej chałupy, która jemu i towarzyszowi jego służyła za schronienie przy nocnych wyprawach. Gdy widział, że nie ma sposobu się wykręcić, przyznał się do zbrodni i wydał też swego współnika. Był to służa pewnej oberży w mieście. Obydwóch osadzono we więzieniu. Pod podłogą w owej pustej chałupie znaleziono liczne kosztowne przedmioty, które po największej części właścicielom zostały zwrócone.

AWANTURKA SZMULA.

Szmul, syn Natana Hosenbergera, handlował cielętami, wołami, krowami, kozami i rozmaitem bydłem, a że miał w głowie rozum, więc robił dobry geszeft. Razu pewnego szedł do domu ze wsi szosą, prowadził na sznurku kozę i bar-

dzo sobie cieszył — czemu? — no, bo zrobił dobry interes i kozę kupił za pięć talarów. Ale było już bardzo ciemno, bo słońce już poszło za góry, i Szmul się namyślał, gdy się zbliżył do spuszczonego ślabana, czyby mu się nie udało przemknąć z kozą pod ślabanem. Za siebie szosowego płacić nie potrzebował, bo przecie nie należał do bydła, ale do bardzo nauczonych żydowskich ludzi, co to i w talmudzie czytać umieją, ale dla kozy musiał mieć karteczkę, chociaż kozy takich karteczek nie jedzą, boby to była pasza za droga! a jakby go nie złapali, toby i dla kozy karteczki nie potrzebował.

Gdy Szmul tak myślał, zrobiło się jasno w oknie domku, bo ślabanowy wstał i zapalił świecę, a to wszystko dla tego, że Szmul myślał za głośno, a koza tymczasem ćwiczyła się w śpiewaniu. Więc Szmul zaraz kozę przywiązał do ślabana, aby mu nie uciekła, i poszedł do domku zapłacić za kozę za to, że może czasem rozdeptała jaki kamień albo dziurę zrobiła na szosie.

Ślabanowy wziął pieniądze, dał Szmulowi karteczkę i podniósł ślaban do góry, żeby Szmula z kozą przepuścić. Szmul na to nie uważał, wziął karteczkę i wyszedł.

Ale gdy przyszedł do ślabana i chce odwiązać kozę — aj waj! — patrzy — precz! — poszła! — nie ma kozy!

Dostał Szmul wielkiego przerażenia i w strachu poleciał napowrót do ślabanowego i krzyczy:

— Aj waj! Moja koza, moja koza zginęła! Przywiązałem ją, a teraz jej nie ma. Panie ślabanowy, pan mi się musisz postarać o moją kozę, bo ja tu za nią zapłaciłem. Aj waj, mojego kozę!

Mówi ślabanowy:

— Co mi do waszej kozy? Kiedyście ją zgubili, to ją sobie szukajcie!

Tymczasem spuścił ślaban i powiedział Szmulowi, żeby się wynosił, inaczej wyrzuci go za drzwi, bo chciałby spać. Ale Szmul nie wyszedł, jeno wołał:

— Ja was będę zaskarżyć, jak wy mi nie dacie mojego kozę, albo sześć talarów!

Ny, przecie talara musiał na niej zarobić.

Ale ślabanowy nie dał ani kozy ani pieniędzy, jeno wziął pistolet i pogroził Szmulowi, że go zastrzeli; a że Szmul nie może słuchać puku, więc zaraz uciekł i ślabanowy drzwi za nim zamknął.

Szmul idzie znowu do tego miejsca, gdzie kozę był u-

wiązał, do słabana, który znowu był spuszczony i — widzi swoją kozę, przywiązaną do słabana, ale leżącą na ziemi.

Pomyślał tedy sobie, że był głupi, kiedy jej przedtem nie widział, bardzo sobie uradował i szturchnął kozę nogą, żeby wstała i poszła z nim do domu. Ale koza nie wstała i ani się ruszyła. Dostał Szmul strachu i zawołał:

— Gwałtu rety, panie słabanowy! Moja koza zemdlała! Czempredziej octu, żeby ją nacierać, to przyjdzie do siebie.

Ślabanowy jednak udawał, że nic nie słyszy i śmiał się pokryjomu. Szmul poleciał do drzwi i pukał — ale były zamknięte; więc znowu pobiegł do kozy i zaczął ją prosić, żeby przecie nie umierała, ale zaczekała jeszcze tydzień, to ją sprzeda, i potem wygodniej będzie mogła umrzeć. Wszystko to jednakowoż nic nie pomogło, bo czemu? — gdy u podniesionego słabana wisiała w powietrzu, przestała żyć, zanim ją słabanowy spuścił na ziemię. I znowu pobiegł Szmul do okna i pukał i krzyczał:

— Aj waj, ratuj pan, panie słabanowy, przecież pan chrześcianin, a nie żyd! Ach panie słabanowy, gwałtu reta, bo ja myślę, że ona nie żyje. Lepiej, żeby pan nie żył, panie słabanowy, bo pan już nie młody, a ona dopiero ma trzy lata — zanadto młoda na swój wiek! Jak pan nie otworzysz, to żeby pan umarł, jak ona! Otwórz pan, może jeszcze można ratować; przecie to pana korzyść, panie słabanowy, bo jak żyć nie będzie, to pan ją będzie zapłacił, bo pan ją zamordował!

Tymczasem słabanowy otworzył. Szmul zaraz pakuje się do izby po ocet, ale — aj waj! — słabanowy rozgniewany dla Szmula wołania, wyleciał z grubym kijem i zaczął go kłaść na Szmula z takim naciskiem, że Szmul upadł na ziemię i krzyczał:

— Aj waj, przestań pan! Aj waj, ja umieram — umieram razem z moją kozą. Gwałtu! jestem nieszczęśliwy i moja familia też! Zbójca! zbójca! Wprzód zabił kozę, a teraz zabija ojca, aj waj, ojca familii! Już vorbai, już nie żyję! Ny, po co pan bije docna nieżywego człowieka? Aj waj! Zbójca! Rabuśnik, Wontrobnik!

Podczas gdy tak krzyczał, wziął go słabanowy za kark i wyrzucił z sieni na dwór, że aż w górę zatelegrafował nogami.

Szmul wciąż wyzywał, wreszcie zabrał nieżywą kozę na plecy, i poszedł do domu i pocieszał sobie, że będzie mógł sprzedać jeszcze mięso i skórę. Ale w domu nie powiedział nic o tem swojej Siorze, jeno że kupił zabita kozę, bo tak jak mu słabanowy wszedł kijem na pierwszą hipotekę, byłaby mu Siora weszła na drugą hipotekę — aj waj!